

Wojtek ma dobre życie

30 czerwca 2021

W Burgrabicach, niewielkiej wsi blisko granicy polsko-czeskiej, mieszkała sobie rodzina Walendziaków. Andrzej Walendziak pracował kiedyś w spółce wodnej, a teraz rozpoczął żywot emeryta. Jego żona Maria też została emerytką; wcześniej sprzątała w szkole. Na stare lata Walendziakowie postanowili żyć zdrowo, ekologicznie i produkować żywność. Zaczęli uprawiać własne warzywa, hodować swoje kury i przymierzali się do chowu świń.



Walendziakowa kupiła na początek jednego prosiaka. Sprowadziła go na wiosnę, umieściła w świeżo wybielonym chlewiku i pilnie dbała o przyszłe mięso na stole. Świniak rósł sobie spokojnie i pani Maria dogadzała mu z każdej strony.

Raz zakupiła specjalną zdrową paszę, innym razem sprowadziła nienawożone kartofle, a zdarzało się, że częstowała świnkę cukierkami. Nawet zauważała, że to zwierzę było nie tylko mądre, chociaż to świnia, ale i sympatyczne. Postanowiła zwierzaka jakoś nazwać, bo uważała, że skoro świnia jest zadowolona, dobrze rośnie, więc można by ją po ludzku potraktować. Świna otrzymała imię Wojtek. Została tak nazwana specjalnie, bo w rodzinie nie było nikogo, kto by się tak

nazywał, więc nikt nie mógłby w przyszłości zgłosić jakichś pretensji.

Wojtek, czyli świnia, zapewne tego nie zrozumiał, ale z czasem przy wypowiedaniu tego imienia, coś tak sobie po świńsku chrząkał.

– Ach, Wojtek, ty masz naprawdę dobre życie. Czysty chlewik, zawsze świeżą wodę i codziennie dobrą karmę. Niejedno zwierzę mogłoby ci pozazdrościć – często tak gadała do siebie i do świni jej właścicielka.

Wojtek przybierał na wadze i z czasem stał się prawdziwie okazałą świnia, czyli knurem.[1]

Nawet swego czasu weterynarz podziwiał ów okaz świńskiego zdrowia i jego imponującą masę ciała. Zdarzało się, że niektórzy gospodarze przychodzili oglądać zwierzę, a na wsi rozpowiadano, że taki knur to może uszlachetnić, przez rozpłód oczywiście, wszystkie wiejskie świni i też te w okolicy. Okazało się, że Wojtek pochodził z dobrej rasy. Sporo świń na wsi miało okazję poznać jego zalety i wskutek tego narodziło o się tutaj wiele porządnych świń.

Wojtek to knur, a jak knur no to poważna świnia, dlatego jej właścicielka dbała o niego, a i traktowała niemalże po ludzku. Chyba Wojtek to czuł, bo wbrew potocznym opiniom zwierzęta czują wiele, lecz nie potrafią okazać w tak wyrafinowany sposób jak ludzie. Co by tu o zwierzaku nie mówić, był to okaz szlachetnej świni, jeśli o świniach można coś szlachetnego powiedzieć.

W każdym razie Wojtkowi powodziło się dobrze w tym chlewiku z czystą wodą i pożywną strawą. Tak bardzo zaimponował Walendziakowej swoją świńską godnością, że z czasem zaczęła zapominać, że jest to okaz przeznaczony na mięso. Skoro świnia miała imię ludzkie, więc i po ludzku ją traktowano. Gospodyni sprzątała chlewik regularnie i raz nawet umyła szamponem świnię i to takim damskim – ładnie pachnącym. Mało kto w domu

rozumiał tę relację kobiety ze świnia, jej uczucia do tego zwierzęcia.

Los jednak płata czasami figle, a fortuna kołem się toczy, czasami tragicznie. Oto córka Walendziakowej, Anna, postanowiła wyjść za mąż, a jej małżonkiem miał zostać inżynier Wojciech Madejewski. A na wsi jest tak, że jak ma się ktoś żenić, to i wesele spore się robi. Wyznaczono termin ślubu, dano na zapowiedzi i spokojnie czekano na ten szczęśliwy czas godów weselnych. Zaproszono gości, przygotowano dobre jedzenie, a i o wódce nie zapomniano. Tylko jedna rzecz się nie sprawdziła. Zbyt mało zamówiono mięsa na ucztę weselną. Przy tym rzeźnik się nie spisał, za małą świnie zarznął, a bez szynki i kiełbasy oraz salcesonu to nie ma na wsi zabawy weselnej. Bo chłop jak popije, to nie je ciastek, frytek i chipsów, lecz o pieczystym marzy – taki to zwyczaj.

Oko Walendziaka chciwie spoglądało na świnie w chlewie. Knur Wojtek to dobry okaz – i tłusty, i wagę miał stosowną, więc problem byłby z głowy, gdyby z niego szynkę, baleron i salceson oraz wędzone kiełbasy zrobiono. Chcąc nie chcąc, trochę się wahał, lecz postanowił wezwać rzeźnika. Tak się złożyło, że pojawił się on w czasie, jak Walendziakowa pojechała z córką na zakupy, bo czegoś tam im do tego wesela brakowało.

Rzeźnik podciął gardło świnie, powiesił głowę w dół, aby ściekła z niej cała krew. Następnie rozpruł brzuch nożem, wydobyl wnętrzości, a całą świnie, już wtedy martwą i sztywną, polał wrzątkiem. Potem zeskrobał z sierści i tuszę pociął na kawałki. Zaczęła się też druga część rzeźniczej operacji kulinarnej, bo zaczęto robić kiełbasy, szynki i balerony.

No i rozpoczęło się wesele. Najpierw ślub w kościele, a potem zabawa w domu. Jak już sobie chłopcy pojedli i z młodą panną potańczyli, to Walendziakowa usiadła zmęczona przy stole. Naprzeciwko niej siedział jej zięć – Wojciech Madejewski, tu

jak na ironię losu zdrobniale Wojtkiem zwany.

Jego teściowa siedziała smutna i trochę zapłakana, a ludzie myśleli, że to z powodu wydania za mąż córki, bo to niby już do innego należy. A ona siedziała przy weselnym stole, tuż naprzeciwko zięcia i kilku dużych półmisek z szynką, baleronom, kiełbasą i salcesonem.

– Ach Wojtek, miałeś dobre życie, a teraz tylko pospolitą świnia się stałeś – mówiła zapłakana Walendziakowa i rękę wyciągnąwszy w stronę mięsiwa, wskazując na półmiski, jeszcze coś dodała. – Mogłeś sobie żyć spokojnie. I po co to wesele?

Inżynier Wojtek Madejewski rozzłościł się mową teściowej i wstawszy z krzesła, krzyknął na nią.

– O co tu chodzi?! Do świni się mnie tu porównuje! Coś czuję, że źle skończyłem, żeniąc się, bo od świń mnie już na samym weselu wyzywają! – walnął pięścią w stół i odszedł.

Nikt nie zrozumiał, o co tu poszło, bo ludzie zbyt dużo popili, a Walendziakowa, siedząc lekko podpita przy stole naprzeciwko półmisek z mięsem, dalej płakała.

– Ach Wojtek, co z ciebie zrobiono, skończyłeś jak zwykła świnia! Nie mogę na to patrzeć!

Autorstwo: Marek Sikorski

Z tomu opowiadań pt. „Diabelski młyn”

Zdjęcie: [vieleineinerhuelle](#) (CC0)

Źródło: WolneMedia.net

Przypis

[1] Knur – samiec świni domowej zdolny do użytkowania rozplodowego.